



JERZY ZUREK

ZABIĆ CASANOVE

LIRA
WYDAWNICTWO

ZABIĆ
CASANOVE

JERZY ŻUREK

ZABIĆ
CASANOVE

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-89-1

CZEŚĆ I

NA KRAWĘDZI

Nie ma na świecie człowieka, który wie wszystko. Ale warto dążyć do tego ideału. Choćby udając pawia, robaka czy lisa.

GIACOMO CASANOVA

LOT

Chmury, ciężkie od szarości i wilgoci, rozstąpiły się nagle, jakby rozsunała się kurtyna w jakimś niebiańskim teatrze. Przed nimi, jak zjawa, jak cudowny fantom pośród oceanu mokrej mgły, stało na nadrzecznej skarpie miasto. Bił od niego niezwykle blask. Białe ściany domów, pałaców i świątyń oraz dachy kamienic pokryte świeżą miedzią w świetle zachodzącego słońca dawały prawdziwie nieziemski refleks. A niżej — jak stalowy grzbiet wodnego potwora — sunęła rzeka.

Wszyscy się ożywili, nawet wymizerowany Piter. On sam uniósł się, nie do końca pewien, czy to nie chorobliwy majak ma przed oczami. Przecież przed chwilą w tunelu ołowianych chmur nic tego nie zapowiadało. Nie — widok nie rozplynął się w powietrzu, trwał nadal spokojnie i pięknie. Giacomo poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Wasyl dotknął jego ramienia i stęknął, jakby te słowa uwierały go w gardle.

— Panie Casanova! Warszawa!

To była ta Warszawa, którą mu los zapowiedział? To miejsce, którym mu grożono albo w którym obiecywano odmianę losu? Kres jego podróży?

A jej początek? Niech będzie przeklęty. Na zawsze!

KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ. PETERSBURG.
ROK 1764. POCZĄTEK RZĄDÓW KATARZYNY II

Wszystko tu było inne. Nawet ten dźwięk dobiegający z ogrodu brzmiał chyba jak biblijne trąby jerychońskie, a nie świński kwik. Z ogrodu? *Porca Madonna!* Skoczył na równe nogi. Bosy i prawie goły dopadł drzwi. Nawet rozłożone obok ciało Tarmary nie mogło go zatrzymać. Tylko chwilę stracił na myśl, co mógłby teraz z jej półśpiącą zgodą zrobić.

Wszystko tu inne, ale ryje takie same. Mięsiste, żarłoczne, chętne, by nie tylko ryc w błotnistej ziemi, ale i pożreć wszystko po drodze. A najpierw rozwalić drewnianą furtkę. Świnia była ogromna — jej różowe, zapaćkane błotem cielsko miało w sobie coś nieprzyzwoicie bezczelnego. Chyba dopiero węszyła za prawdziwymi przysmakami, bo jego kopczyk ziemniaków był prawie nienaruszony. Ale kiedy się do niego dobierze, to koniec. Paroma kłapnięciami pyska zmiażdży wszystko na pulpę. Rzucił się odganiać bestię, powstrzymać to cielsko i umorusany ryj. Zimne błoto pod stopami. Narzuta, którą się naprędce okrył, zjeżdżała z pleców. *Paskudne bydlę. A pójdiesz ty! Wynocha!*

Wreszcie udało mu się złapać zwierzaka za ucho, ścisnąć, pociągnąć i nie wypuszczać z ręki. Ale poślizgnął się nagle, stracił równowagę i runął między grządki. Wyhamował na rękach i kolanach w mięsistej kałuży. Umazany, utyłtany w błocie mógł być teraz godnym przeciwnikiem świńskiej bestii. Rzucił się na niego, jego będzie chciała pożreć. Mało to się słyszało o takich przypadkach! Ale ona wypięła się tylko i zanurzyła ryj w kopcu kartofli. Jego skarby! Jego nadzieja na lepszą przyszłość! Teraz się dopiero wściekł. Na pewno nie! Wziął zamach i palnął z całej siły w ten kołyszący się zad.

— *Merde! Szatańskie merde!*

Świnia kwiknęła i pognała wreszcie przed siebie, do furtki, na ulicę, do jakiegoś chlewika, z którego się tu wziął ten diabelski pomiot.

Zerknął w stronę domu. Tamara chyba jeszcze spała. Na szczęście. Miał nieco czasu, żeby zebrać do narzuty trochę kartofli, naprawić kopczyk i obłożyć go słomą. A potem postawił jako tako furtkę i ruszyć pod studnię.

Wiele nie zdziałał, bo dziewczyna od razu zmarszczyła nos.

— Dziwnie pachniesz, Giacomo.

— U nas się mówi: śmierdzisz.

— U nas też się tak mówi.

Roześmiała się, ale nie odsunęła. Co mogło być lepszego od jej rozpalonego ciała?

— Miałaś pilnować tych bestii.

— A ty miałeś mnie kochać, Giacomo.

— A co innego robię? Prawie nie spałem. I zmarłem na sopol.

— Biedaczek.

— Młoda damo. Ja... Nie jestem już młodzieńcem. Dobrze, że z ciebie takie świeżutkie cudo.

— Dużo ich miałeś? Tych cudów? Bo mówią, że dużo.

— Takich jak ty: żadnego.

— Jeszcze uwierzę...

Chciała go wytrzeć, pociągnęła za skraj narzuty. Wysypały się ziemniaki, potoczyły pod stół i pod łóżko. To nie była pora, żeby je zbierać.

— Wiesz, że każdy taki kartofel, „kartoszek”, jak wy to mówicie, będzie kiedyś na wagę złota.

Znalazła ręcznik, a zaraz nakryła ich pierzyną.

— A ja?

— Ciebie też ozłocę. Muszę się tylko dostać do cesarzowej.

Te jej żwawe paluszki działały cuda. Próbowaly się dobrać do diabła za skórą?

— Możemy jechać. Nawet zaraz.

— Teraz?

Tamara nasunęła się na niego. Poczuł jej piersi na brzuchu. I język niżej.

— Powiedziałam: zaraz.



Przyjaciółki Tamary, Natasza i Olga, czekały przy rogatkach. Przebierały go w powozie. Miały w płóciennych sakwach wszystko, co trzeba. Damską perukę, trochę zbyt strojną, jak na jego gust, suknię z bufiastymi rękawami, pantofle na płaskim obcasie — sprytnie, bo i tak przewyższał dziewczyny o głowę. No i srebrzysty płaszcz na to wszystko. Dłonie miały szybkie i zdecydowane. I tylko chichotały chwilami zbyt jawnie jak na jego skołatane nerwy.

Przez strażę przejechali z hukiem, powoziły dziewczyny. Pokrzykując i śmiejąc się głośno. Kątem oka zobaczył wartownika. Nie było jasne, czy biedaczysko w ogóle żyje, tak był przerażony fanaberiami carskich dam dworu. Wysadziły go przy parkowej altanie. Tam wracał, z niewielką już ich pomocą, do siebie. W tę stronę było szybciej. Peruka, płaszcz, pantofle — ziuuu! Wkrótce był już z powrotem sobą — Giacometem Casanovą czy jak sam czasem wołał: kawalerem de Seingalt. Ulubieńcem dworów całej Europy, towarzyskim pawiem w złocistym kubraku i śnieżnobiałych pantalonach. Tylko złoty sygnet, wygrany kiedyś w Dreźnie w karty, wcisnął Tamarze do dłoni. Niech go jej przypomina.

Dziewczyny oceniły efekt wspólnych zabiegów, a na koniec pocałowały go wszystkie w usta. Wyglądało to jak jakiś rytuał. *Robiły to już wcześniej? Stroiły tak innych?*

Tamara, jakby słyszała, co myśli, uściskała go na pożegnanie. Na mały palec wcisnęła mu swój pierścionek z krwawym kamieniem.

— Uważaj! Wiesz, co o niej mówią.



Ruszył mniej pewnie, niż chciał, ale te pantofle ze złotymi sprzączkami zawsze utrudniały mu życie. Z manuskryptem, jedynym wartym uwagi owocem pierwszych petersburskich tygodni, z dziełem pełnym własnych i cudzych pomysłów uzdrowienia świata, krążył niespokojnie po alejkach parku. Aż się doczekał — w kobiecie otoczonej paradną oficerską świtą, korowodem pysznych, błyszczących złotem i srebrem kogutów, rozpoznał imperatorową Katarzynę. Była niższa i tęższa, niż się spodziewał. Ale przecież ozdrowicielka świata, władczyni krain i ludów, których prawie nie da się zliczyć, nie musi przypominać anioła. Wystarczy, że nim jest.

Kilkunastoosobowy orszak carycy sunął wolno przed siebie. Cel był widoczny. Pod ścianą zieleni zastawione stoły: mięsivo, wina, wielkie bochny miejscowego chleba, który już zdążył polubić. Szeregi służących w poddańczych pozach, kilku grajków z dziwnymi instrumentami. Buchnęła nagle muzyka, głośna, dzika, tancerze ruszyli w gwałtowny płas.

Gdy zdecydował się podejść i rozpoczął szybki marsz w ich stronę, z orszaku carycy odłączyło się dwóch rośłych mężczyzn. Szli spokojnie naprzeciwko niego, tak zresztą, jakby ich wcale nie interesował. Ale gdy się zrównali z Casanową, capnęli go pod pachy, unieśli, odwrócili i trochę popychając, a trochę niosąc, powlekli między zarośla.

Cywil w ciemnym płaszczu wysłuchał z rutynowym znużeniem raportu wyższego z mężczyzn, kazał zrewidować Casanowę i machnął lekceważąco ręką. Niech się wynosi czym prędzej. Manuskrypt podarł na cztery części. *Żeby cię tu już więcej nie widział. Wszystko.*

Akurat! Tak się tylko bęcwałom zdawało. Bo nagle jedna ze strojnie ubranych dam dworu gwizdnęła na palcach jak zwykła ulicznica. A dłoń cesarzowej wychyliła się w jego stronę. Dawać go tu!



I już wkrótce szedł, ba — płynął w powietrzu. Wykąpany, ogolony, przejrzany od gardła aż po odbyty, ubrany w mundur ni to huzara, ni kozaka, spryskany paryskimi perfumami.

Amfilada schodów przecinana była wielkimi biało-złotymi drzwiami, które otwierały się przed nim bezszelestnie. Jedne, drugie, trzecie. Wspinał się po stopniach bez wysiłku. Krok pewny, ale luźny, biodra i ramiona pracują swobodnie. Jest dobrze, rewelacyjnie, bosko. To krok zwycięzcy, tryumfatora, kto wie, czy nie pierwszego kochanka imperium.

U góry schodów pojawili się strażnicy, nieruchomi, jarmarcznie wystrojeni, w wielkich złocisto-granatowych czapach, z pałaszami na ramionach. Przed nimi młodziutki służący z tacą kieliszków. Zwolnił kroku. Wódka? A czemuż by nie? Jedną już przecież wypił w łaźni. I dobrze mu zrobiła. Więc i druga nie zaszkodzi. A ci nieruchomi strażnicy? Są może z wosku? Podskoczył i pacnął się dłonią o kostkę. Jak góralscy tancerze w ogrodach. O mało się nie wyrzucił. *Merde!* A oni i tak ani drgnęli. To trzeci kieliszek, dla odzyskania równowagi. I pewniejszego chwytu za klamkę do sypialni carycy.

I zaraz stał przed tą kobietą władającą połową świata. Patrzyła na niego uważnie, skryta za potężnym biurkiem o nogach ze złota. Katarzyna musiała być kiedyś niebrzydka, co prawda w typie, którego nie lubił, choć czasem doświadczał — kobiet o surowych rysach i białym ciele, teraz jednak można było się tylko tego domyślać. W nalanej, jakby spuchniętej twarzy i w tęgiej sylwetce nie dało się znaleźć niczego pociągającego. Pewnie gdyby mógł podejść bliżej, znalazłby i cień zarostu nad jej górną wargą. Ale nie podchodził. Jedno jej spojrzenie osadziło go w miejscu. Takie spojrzenie mogło zabijać. I pewnie zabijało.

— I co pan powiesz?

Smak wódki zatkał mu na chwilę gardło. O sekundę za długo z tym walczył.

— No?

Jej głos nie był już tak dobrotliwy. Trzeba się spieszyć.

— Blask najjaśniejszej pani...

Przerwała mu gestem. Sam pojął, że nie tędy droga. Różne rzeczy mówią o tej wszechwładnej kobiecie, ale nie to, że jest głupia. Wszystko, co najgorsze — tak, ale nie, że głupia. Zresztą czy jej podłość, wyuzdanie i okrucieństwo byłyby czymś nadzwyczajnym na tym świecie? O ile to wszystko prawda. On sam, doświadczywszy wiele razy obmowy, był dość ostrożny. No bo czy znalazłaby się kobieta tak szeroka w swej kobiecości, żeby przyjąć w siebie męskość byka? Albo całego, najmniejszego choćby liliputa, z głową, rękami i nogami? Czy o nim nie opowiadano podobnych bajduł? Że dziewice napoczyzna tylko językiem albo że ma dębową protezę zamiast fujary. Bzdury, wierutne bzdury.

— Jestem poetą i filozofem. Pracuję nad traktatem o sposobach rządzenia. Dlatego przybyłem do tego pięknego kraju...

— Dzikusów i ludożerców. Tak pewnie o nas myślicie. Tam u was.

— Do kraju ciekawych ludzi. Rządzonych przez światłą władczynię.

Popatrzyła z rozbawieniem, ale chyba z takim, którego powinien się zacząć bać.

— A skąd pan wie, panie filozofie, że nie kapryśną, okrutną albo, co gorsze, nieudolną?

— Od pewnego filozofa, bardzo w pani rozmiłowanego.

Trafił. Widział to w jej oczach.

— Zna pan Woltera?

— Mam ten zaszczyt. I wiem, że nie obce są pani nowoczesne poglądy na świat.

— Nowoczesne poglądy? A cóż to za bestie?

— Na przykład idea zjednoczonej Europy.

— CO?

Błysnęło światło pioruna za oknem czy tylko mu się zda-
wało? Już nie było kpiącego cienia w jej spojrzeniu. Stał, pięść,
mrok. Tak, to była imperatorowa Wszechrosji, żelazna Katarzy-
na. Musiał być ostrożny. I mądrzejszy od samego siebie. Prze-
cież nie dla tych bzdur o bykach, liliputach i pułkach gwardii
złożonych z jej jednonocnych kochanków przyjechał tu, do
Petersburga. Miał... ma ambitniejsze plany. Stał jak przed są-
dowym trybunałem i zamierającym ze zdenerwowania głosem
wygłaszał swoją tyradę o przyszłości świata, o zjednoczeniu
Europy pod wodzą najświetlejszych monarchów, o organizacji
ludów zjednoczonych, która scali, co rozbite, i połączy, co bez
powodu rozłączone.

Mówił to i coraz wyraźniej czuł, że jego cudaczny mundur
jest już przyodziewkiem błazna, a paryskie perfumy to nic
innego jak odór kurewskiego stanu. I jeszcze ten gęstniejący
chichot pod językiem.

Rozbrojenie to problem najważniejszy. Gdy ograniczy się
wojsko do niewielkich rozmiarów, nikt na nikogo nie będzie
napadał, a pokój, cóż, tyleż jest potrzebny ludziom, co miły...
chciał powiedzieć — Bogu, ale poprawił się, ma przecież do
czynienia z czytelniczką Woltera: właściwy Naturze.

— Narody mogą razem pracować dla wspólnego dobra.
W pokoju. Bez granic. Bez broni.

— Jakże tak bez broni?

— Może nie od razu. Kiedyś...

Tonął. Niech diabli porwą jego idiotyczne pomysły, Woltera
i tę tęstą żmiję, która spojrzała na niego znowu jak na wróbla
wpuszczonego do jej klatki. Świat zabujał mu przed oczami.
Ta piekielna wódka. Rzygnie zaraz i tyle będzie jego sukcesów
dzisiaj.

— Ale ja lubię broń. Strzelby, bagnety, szpady. Wszystko, co
dźga, kłuje, rozrywa. A armaty to po prostu Kocham. I po toś
się pan tu do nas fatygował?

— Ja... mam jeszcze kilka propozycji.

— Pięćdziesiąt tysięcy wystarczy na początek?

Głos miała zdumiewająco łagodny. Czego pięćdziesiąt tysięcy? Dukatów, franków, kijów na grzbiet? I za co chce go to wąsate babsko nagradzać czy karać?

Caryca wyjęła ręce spod stołu, wąski nożyk załśnił między jej palcami, w drugiej dłoni trzymała jabłko.

— Dobrze. Niech będzie siedemdziesiąt tysięcy. Siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy mniej w Europie. Ale w zamian za gwarancje od twoich mocodawców, że Turcja zostawi nas w spokoju na kilka lat. Pięć, powiedzmy.

— Pięć lat — powtórzył, nie bardzo wiedząc, o czym mówi. Jaka Turcja, jacy mocodawcy?

— Wystarczy. Później my się zatroszczymy o spokój Turków.

Bierze go za kogoś innego albo kpi sobie w żywe oczy.

— To bardzo chwalebne — zaczął ostrożnie, walcząc ze swym chrypiącym nagle głosem, ale zanim pozostałe słowa uwięzły mu w gardle, caryca lekceważąco machnęła dłonią.

— Ani trochę. Użyjemy tych żołnierzy w Azji. Mamy tam jeszcze trochę wrogów.

Wstała nagle, jakby uznawszy tę część rozmowy za zakończoną. Była podobna do mebla stojącego za nią w rogu pokoju — błyszczącej złoceniami, ciężko się trzymającej na szeroko rozstawionych nogach szafy. Pół świata we władzy szafy.

Nożyk, ciągle błyszczący w jej dłoni, to był nożyk do przecinania listów. List od Woltera? Kto wie. Mógł się od kogoś dowiedzieć, co się dzieje, i napisać do niej w obronie swojego przyjaciela. Szafa ruszyła z miejsca, aż zatrzęsły się wszystkie wypukłości, zakamarki i złocenia. Nie wyglądała wcale niezgrabnie w tym ruchu, ciężar, który niosła, był sprężysty, nogi silne. Znowu nie wiedział, czego się spodziewać. Dotknęła go ostrzem nożyka w pierś.

— A tak między nami, panie Casanova, nie zdaje się panu i pana przyjaciółom, że natura naprawdę uznaje tylko walkę? Wy, masoni, tego nie widzicie czy nie chcecie zobaczyć? Liczy się przemoc, krew, gruchotanie kości. Nie mam racji?

Chciał się skłonić z jakimś nieobowiązującym frazesem, jako mason mógł sobie pozwolić na tajemniczość, ale nożyk merdający w jej ręce i chrapliwy głos kazały mu znieruchomieć. Pęcherz, żeby tylko nie odezwał się pęcherz. Dłoń Katarzyny, jej palce, paluchy obciążone pierścieniami, dłoń, na której skinienie czekają miliony ludzi — od tych tam, za drzwiami, gotowych go wynieść na rękach albo zakatrupić, aż po koronowane głowy w całej Europie — spoczęła na jego piersi. Pyknęły guziki, jeden, drugi, ostrze przejechało po skórze. Nie poruszył się. Wiedział, że nie ma prawa.

— Krew — przytknęła mocniej dłoń — pot. — Przyciągnęła go drugą ręką. — Ślina.

Czknął nagle głośno, jakby najgorszy wróg próbował go teraz pogrążyć.

— Upił się kawaler? Mam pognać na Sybir?

Ten drugi nie zamierzał ustępować, a co? Co mu teraz zostało?

— Sybir? Nasz przyjaciel Wolter uważa, że nic takiego nie istnieje.

— Mówią, żeś szpieg, panie Casanova. Ale że niezły kochanek. To dość gadania.

Pociągnęła go w stronę szerokiego, puchatego od jedwabi łoża, zagarnęła na siebie. A więc wszystko, co o niej szeptali, mówili, krzyczeli, to prawda. Szafa, rozpustna szafa. Będzie pieprzył rozpustną szafę.

Ale broń odmawiała mu posłuszeństwa. Kobieta leżała przed nim rozpostarta na bufiastej sukni, nie skrywając niczego, a on jak pierwszy lepszy młodzik nie potrafił zabrać się do dzieła. A przecież musiał. Inaczej koniec z nim, koniec.

Gorączkowo próbował przypomnieć sobie coś podniecającego. Najśodsze usta z ruchliwym języczkiem Pauline, sprężynująca cipka Binettii, wirujący tyłek i gardłowy śmiech dziewczki z Hamburga — to wszystko było za mało, żeby odwrócić jego uwagę od nieforemnego brzucha i szczeciny pokrywającej to, w co wdzierać się nie miał czym.

Wezwał jeszcze na pomoc dwie Chinki pieszczące się z nim w łaźni, pewien zapach, którym parowały, ich krzyki rozkoszy. Ale zamiast gołych brzusków Chinek widział zarośnięte zбочe, zamiast zapachu młodych ciał czuł jej nieświeży oddech, a zamiast śpiewu miłości słyszał coraz głośniejszy i coraz groźniejszy krzyk.

— Nu? Ty co?

Pociągnęła go na siebie jeszcze raz, próbowała okraczyć nogami, kopiąc przy tym i poszturchując. I te piersi, płaskie, sflaczałe, z suchym wąwozem pośrodku. Nic już nie pomagało. Dyndas pozostawał dalej dyndasem, nie maczugą, i ciągle bliżej był spełnienia potrzeb pęcherza niż cesarzowej Wszechrusi. Do diabła, z prawdziwą szafą miałby mniejszy problem. Nic, kłapa, powszechne rozbrojenie zamiast wojny.

— Ja zaraz... — wybełkotał w jakimś nieznanym pierwotnym języku, wyrwał rękę spod jej ciężkiego zadu, złapał, ścisnął, pomiętosił.

Szybko jakieś przypomnienie! Ta wredna Charpillion nabita z tyłu na jakiegoś chłystka, uśmiechnięta do niego, niewinnie i czule; bezwolna Angielka, którą wygrał na jedną noc w karty od czekającego za drzwiami narzeczonego; garbus z wielką męskością w dreźnieńskim kabarecie. Coś, może jakaś nadzieja, cień nadziei, no! Niech tylko ten flakowaty dureń podniesie łeb i ruszy przed siebie. Wymłóci babę, aż ją będą musieli wynosić. A potem nie daruje i szafie, choćby nie wiem, ile miała szuflad.

Wszystko na nic. Cudu nie będzie. Koniec. Z nim i z całym światem. Nie zjedna jej dla europejskiej wspólnoty ani dla

rozbrojenia. Przeciwnie! Będą się tu teraz zbroić na potęgę. I jedni, i drudzy, i trzeci. Nowi żołnierze, nowe bronie, nowe wojny. Już ona o to zadba. Wzgardzone kobiety są straszne, a któraż z tych dotychczas wzgardzonych ma choćby cząstkę władzy tego babska. Zgubi, postawi pod bronią cały świat. I to przez co? Przez jego przedwczesne rozbrojenie.

— Mam jeszcze projekt loterii francuskiej. To same zyski...

Podniósł się nie bez trudu, a wtedy leżąca pod nim kobieta — już nie cesarzowa, a znicierpliwiona baba — sięgnęła szerokim, gospodarskim gestem pomiędzy jego nogi. Sekundę później wiedział, że to nie była pieszczota, ale badanie.

Pulchna dłoń stwardniała nagle w cęgi, mordercze kleszcze gotowe miażdżyć, rwać, psom rzucić na pożarcie. Ból zgiął go w pół jednym paraliżującym błyskiem. Niczego nie czuł i nie rozumiał. Już na podłodze dopadł go jej głos.

— Won! Won!

Dwóch potężnych sługów pojawiło się w drzwiach. Nie byli pewni, czy nie skatować go na miejscu. Ale z łoża dobiegł ściszony nagle głos cesarzowej:

— Spokojnie. Może nam się jeszcze przydać.



Gdyby nie Tamara, próbowałby uciec od razu. No owszem, wążęły się koło domu jakieś mętne typy o gębach morderców. Ale od czego były noce, ciemne zaułki, powozy z zasłoniętymi oknami? I jego wenecki rodowód.

Gdyby nie Tamara... Miał ją właśnie pod sobą, tę wspa-
niałą dziewczynę o śpiewnym imieniu, którego nie potrafił
wypowiedzieć bez śmiechu, i o jasnej, jakby przezroczystej
skórce, trzymał ją nagą w objęciach i czuł, jak paznokcie ko-
chanki żłobią mu plecy w rytm gwałtownych poruszeń bioder.
Nie chciał, żeby się rozbierała, wołałby powoli wyłuskiwać jej

podniecające tajemnice z szeleszczących sukien, zrobiła to jednak sama z szybkością, która nieco go zdziwiła u uznawanych za oziębłe kobiet północnej rasy. Uznał to za hołd dla swoich uroków. To jego zdobycz, kolejna ofiara wyrafinowanych załotów sprawdzonych w sypialniach całej Europy, ale w końcu także przyjazna ludzka istota, ofiarowująca mu ciepło i tkliwość w tym kraju chłodu i podejrzliwości. Był jej za to po ludzku i po męsku wdzięczny.

Coś upadło za drzwiami, raz, drugi. Dziewczyna szarpnęła się niespokojnie, ale on, bliski już spełnienia, niczego nie słyszał i nie czuł, jeszcze chwila i wystrzeli ognisty pocisk do swej szczęśliwej gwiazdy. Był gotów, gdy drzwi pękły z trzaskiem i do pokoju wpadło światło, a z nim chłód i ludzie, gromada ludzi. Tamara umknęła spod niego, jak kocica spadła za łóżko, zostawiając go nagiego, wypiętego w stronę niebezpieczeństwa, tryskającego w skołtunioną pościel. Był jeszcze zwierzęciem — zanim ostrze dotknęło karku, zanim zatrzeszczały zadarte do tyłu włosy i oczy oslepiły od przystawionej do twarzy pochodni — na czworakach runął w stronę okna. Szarpnął zasłonę i bez zastanowienia skoczył. Szyba rozprysła się na tysiąc krwawych cętek, wyleciał na taras i zaraz, czując, że walczy o życie, rzucił się do ucieczki.

Balkonowy krążanek wokół domu, kolczaste krzewy, żwirrowana alejka, potem brukowana droga, jakieś ciemne kształty zabudowań. Najpierw nie czuł chłodu ani bólu stóp młócących zmarzniętą ziemię z taką samą zawziętością, co przed chwilą jego dziarska męskość gorący brzuch tej dziewczyny o jasnej skórze. Nie słyszał pogoni, niczego nie słyszał prócz łomotu krwi w skroniach i coraz głośniejszego oddechu. Daleko nie ucieknie okryty tylko w strzęp zasłony. Musi się gdzieś ukryć, przeczekać, wywieźć, co się stało. Zazdrosny mąż czy kochanek? Skąd u Tamary?

Przeskoczył jakieś ogrodzenie, jedno, drugie, potem, zatrzymywany i obracany przez zwarzone chłodem gałęzie, przedarł

się przez żywopłot. Biegł między rzędami kłujących krzewów, z bolesnym żwirem pod stopami, nie musząc już wybierać kierunku ucieczki, coraz mniej ufny w jej szczęśliwy koniec. Poderwał się jeszcze raz, kiedy zobaczył dom, światło w oknach, jakieś postacie przy uchylonych balkonowych drzwiach. Już miał na języku: „Jestem Giacomo Casanova, niech was nie zwiedzie strój i okoliczności, kawaler szlchetnego rodu”, gdy, jakby czekając na tę okazję, na tę chwilę powrotu do przytomności, powiew mrozu zatkał mu usta kaszlem.

Potoczył się do przodu, poczuł ból pod stopami. Skąd tu rozbite szkło? Bez zastanowienia poleciał do światła, do ciepła, do ludzi. Pomogą mu, muszą mu pomóc. Uciec, a może nawet wyjaśnić wszystko. Nie zrobił przecież niczego złego, u diabła! Ocknął się na środku pokoju, dygocąc teraz nie z zimna, a z przerażenia. Co za makabryczny sen we śnie strasznym, koszmar w koszmarze. Odwracały się do niego twarze tych, przed którymi uciekał, odsłaniały jedna po drugiej swą wściekłość i pogardliwy tryumf gęb mundurowych i przewodzącego im cywila, a wreszcie zza zasłony czesanych włosów spojrzała kochanka o śpiewnym imieniu i jasnej skórze. Jego Tamara! Piekło!

— Jestem szlachcicem, panowie — wychrypiał w złowróżbnej ciszy. — Nie pozwolę się tak traktować.

Zaskrzypiały najpierw buty cywila, krępy blondyn o wyłupiastych oczach podszedł bliżej.

— Nie jesteś szlachcicem, panie Casanova — obnażona szabla błysnęła w jego ręku — jesteś psem.

Blondas błyskawicznym ruchem zerwał resztki zasłony. Casanova chciał się rzucić na tamtego z gołymi rękami, gołymi nogami, gołą piersią i gardłem gołym, ale zamarł na widok ostrza wycelowanego w podbrzusze.

— Wściekłym psem, któremu trzeba uciąć jaja.